

Głęboki Dół

Pakowanie nie zajęło mu wiele czasu, naszykował to, co zawsze brał na rowerowe przejażdżki. Bidon, telefon, klucze do domu, zestaw naprawczy z zapasowymi dętkami, rękawiczki, kask i... aparat. Bezlusterkowiec z ciężkim obiektywem miał swoje specjalne miejsce w torbie zawieszanej na kierownicy. Był zawsze pod ręką, gdy Mirek zobaczył jakiegoś ptaka w zasięgu wzroku.

Niedzielnny poranek był słoneczny, według prognozy, miało tak być do końca dnia, więc założył koszulkę z krótkim rękawkiem i kolarki. Spojrzał na siebie w lustrze. Na ciemne, krótko ścięte włosy założył ciemnozielony kask. Zaśmiał się w duchu, bo wyglądał w nim jak pieczarka. Może i dziwnie, ale bezpiecznie. Umówił się z kolegami na Rynku, gdy dojechał na miejsce, Kamil i Lucek już na niego czekali. Dwie dorodne pieczarki – jedna krępa, a druga chuda i wysoka.

– Cześć! – zawołał, po czym dojechał do znajomych pod same koła ich rowerów.

– Hej! – odpowiedzieli jednocześnie.

– Macie już dokładną trasę?

– Tak, zaraz wyślę ci gpx-a. Jak zawsze, około trzydziestu kilometrów wokół komina – odpowiedział Kamil.

– Dzisiaj se pojedziemy przez Mikołeska, Kalety, a potem przez Cis Donnersmarcka. Trocha se przy okazji pooglondomy ciekawe miejsca – rzucił Lucek.

– Właściwie to pojedziemy pętlą z Cisem Donnersmarcka, ale nieco zmodyfikowaną przeze mnie – dodał Kamil.

– Dobra, trasę już mam w aplikacji, możemy jechać panowie – zarządził Mirek.

Po tych słowach, jak na znak wystrzału do startu, wszyscy trzej ruszyli przed siebie. Jechali po ścieżkach rowerowych w stronę złomowiska, gdy mijali wielkie rdzawe hałdy złomu, poczuli, jak dzisiaj jest gorąco. Wokół składowiska złomu nie było żadnych wysokich drzew, które dają zbawienny cień. Pod kaskami rowerzystów rosły krople potu, które zaczęły powoli wpływać na czoła.

Po minięciu pól i starych zabudowań ujrzeli horyzont drzew, Mirek ucieszył się na ten widok, jakby zobaczył oazę pośrodku pustyni. Gdy wjechali w las, momentalnie im ulżyło. Mirosław spojrzął do telefonu, aplikacja wskazywała, że przejechali cztery kilometry. Nie dowierzał, czuł się jak po przejechaniu dziesięciu. „Jak dobrze, że reszta trasy biegnie przez las” – ta myśl dodała mu sił.

Jechali lasem jednostajnym tempem. Zmniejszyli prędkość, dopiero kiedy dojechali do Tłuczykąta. Po obu stronach wąskiej drogi stały nowo wybudowane domy, pomiędzy nimi znajdowały się również dużo starsze zabudowania. Mirek zastanawiał się kto i dlaczego w takim odludnym miejscu chciał wybudować pierwszy dom. A może kiedyś, wieki temu, znajdowała się tutaj osada z drewnianymi chatami? Może pierwsi osadnicy Tłuczykąta byli gajowymi lub trudnili się karczowaniem gęstego lasu? Teraz, mieszkańcy Tłuczykąta – najmniejszej wsi w Tarnowskich Górach, muszą do pracy dojeżdżać. Mirek zaśmiał się w duchu. Przypomniał sobie, jak kiedyś ktoś mu wspomniał, że Tłuczykąt to dawne określenie oznaczające dosłownie odludne miejsce.

Mała wieś zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Miejsce budynków zajęły z powrotem strzeliste sosny. Przez ich korony przedzierały się lśniąca promienie słoneczne. Przyjemny wiatr, spowodowany prędkością jazdy, przyjemnie ochładzał trzech rowerzystów. Mirosław ujrzął wielkie dęby, a zaraz obok zarośnięte szuwarami jeziorko. Znajdowali się na terenie byłego rezerwatu przyrody Dęby Boruszowickie, który istniał do 1992 roku. Rosnące tam

okazałe dęby istniały od stu pięćdziesięciu do nawet trzystu lat. Niektóre z nich są dzisiaj pomnikami przyrody, a niektóre uschły, pozostawiając swój ślad jedynie w pamięci.

Minęli teren z dębami i równym tempem dojechali do kolejnej wsi. Mikołeska Mirkowi wydawała się o wiele żywsza niż Tłuczykąt. Słyszał rozmawiających przez płot sąsiadów, gdzieś po drugiej stronie zapał kogut i zaszczekały w oddali psy. Nad jego głową przeleciała popiskująca radosnym trelem jaskółka. Gdy spojrzął do góry, zauważył, że na liniach telegraficznych siedzi ich więcej. W miejscach, gdzie ludzie hodowali zwierzęta, czy to świnie, czy krowy – zawsze były jaskółki. Ich widok przypomniał mu dzieciństwo, kiedy wyjeżdżał z rodzicami do babci na wieś. Gdy babcia zachorowała i nie była w stanie hodować zwierząt, wtedy zniknęły z podwórka również jaskółki.

Mirek miał nadzieję, że zatrzymają się na krótki odpoczynek, zrobiłby zdjęcie jaskółkom. Kamil i Lucek jednak gnali przed siebie niewzruszeni jaskółkami. Nie było sensu ich później doganiać i marnować sił.

Już w Mikołesce ich trasa zbiegła się z popularną Leśną Rajzą. To był najgorszy odcinek ich trasy, drzewa były schowane daleko od drogi, nie było przez to ani centymetra cienia. Szutrowa droga była nagrzana jak patelnia. Nie przeszkadzało to jedynie siadającym na drodze motylom. Siadały, rozkładały skrzydła, a po chwili już musiały uciekać przepędzone przez koła rowerów. W jednym z motyli Mirosław rozpoznał pazia królowej. „A to niespodzianka” – pomyślał.

Rozłożysty dąb wieńczył granicę Mikołeski. Tuż obok niego stała tabliczka informująca o końcu miejscowości. Zaraz za nią zaczynał się las. Gdy do niego wjechali, Mirek poczuł ulgę, jakby wskoczył do basenu pełnego zimnej wody. Jechali Leśną Rajżą przez Jędrysek, trasa biegła po ulicy, na szczęście ruch był mały. Tuż przed kolejowym wiaduktem skręcili w prawo, żegnając przy tym Leśną Rajżę.

Znów byli w lesie. Jadąc cały czas prosto wśród sosen, dojechali do stacji myśliwskiej. Tam wielu innych rowerzystów odpoczywało w cieniu drewnianej altanki, wokół niej oprócz zaparkowanych rowerów, stały drewniane figury wilków, lisów, jeleni i saren. Zamiast odpocząć z innymi rowerzystami, tuż przed stacją skręcili w prawo. Dojechali do końca trawiastej alejki i skręcili tym razem w lewo, po paru metrach ujrzeli kolejną stację rowerową. Mirek miał nadzieję, że stacja Donnersmarcka będzie ich miejscem na odpoczynek.

– To może zrobimy tu sobie mały postój? – zapytał niepewnie Mirek.

– No co ty. Przecież jedziemy tylko trzydzieści kilometrów, dawaj stary, zaraz kończy się trasa – odpowiedział mu Kamil.

Mirek spojrzął na trasę w aplikacji, faktycznie, zostało jeszcze dziesięć kilometrów do końca. Potrafił jeździć dłuższe trasy bez przerw, ale dzisiejszy upał męczył go podwójnie.

Mijając Cis Donnersmarcka, przypomniał sobie, jak kiedyś wyglądało to miejsce – zarośnięte tak bardzo, że trudno było się dostać do wiekowego drzewa. Teraz, wyglądało tam przyzwoicie, zrobiono kładkę, wykoszono okoliczne chaszczki i postawiono wiele tablic edukacyjnych.

Mirek miał coraz mniej sił, całe ciało jak nigdy lepiło się od potu, a w ustach i gardle czuł piekącą suszę. Woda w jego bidonie była cenna jak złoto. Na szczęście kolejne kilometry mijały w cieniu drzew. Co jakiś czas spotykali rosnące przy drodze pokaźne dęby, wyróżniały się na tle licznych sosen i świerków. Na poboczach ubitej drogi rosły gęsto orlice, Mirosław nie lubił zapachu tych paproci, przypominał mu woń ludzkiego potu. Dziwił się, że żaden z jego kolegów nie narzeka na ten zapach.

Nieprzyjemny aromat paproci zniknął, kiedy dojechali do Głębokiego Dołu. Na niebie usłyszeli klangor żurawi, był tak donośny, że świst wiatru nie mógł go zagłuszyć. Po chwili zauważyli kołujące ptaki, które zniżały wysokość i finalnie usiadły w gęstych szuwarach po drugiej stronie jeziora. To była chwila, w której Mirek w końcu zaprotestował i wymusił na kolegach przerwę. Ci, z dezaprobatą tylko westchnęli.

Niewzruszony ich niechęcią sięgnął po aparat z torby i poszedł w kierunku żurawi. Był tak skupiony na wytropieniu ptaków, że nie zwracał uwagi na okropny zapach towarzyszący temu miejscu. Znalazł przy drodze lukę, gdzie nie rosły wysokie trzciny, mógł w tym miejscu wycelować obiektyw na widoczne z zarośli żurawi. Przyłożył wizjer aparatu do oka i kiedy naciskał spust migawki, żurawie odleciały, trzepocąc głośno swoimi wielkimi skrzydłami.

– No nie – powiedział przeciągle.

Zrezygnowany poszedł w kierunku kolegów, którzy czekali na niego w cieniu drzew, tuż przy odsłoniętym brzegu jeziora. Po jego minie wiedzieli, że zdjęcia się nie udały. Popijali wodę z bidonów i czekali, aż Mirek coś powie.

– Przyjadę tu jutro z rana – oznajmił Mirek, chowając aparat z powrotem do torby.

– Aż tak ci zależy? – zapytał Kamil.

– To są żurawie! Poza tym, nie ma jeszcze ich zdjęć, a skoro tu były, to pewnie gdzieś tu mają gniazdo i pewnie pojawiają się znowu.

– Poszukaj se lepij innego miejsca kaj som te twoje żurawie.

– Niby czemu miałbym szukać gdzie indziej? Raczej nie ma innego miejsca w Tarnowskich Górach, gdzie przebywają – odpowiedział Mirosław.

– Jo bym niy łąził po tym jezioru som, ty jeszcze chcesz łązić po bażołach. Niy słyszoeś o tyj legyńdzie o Pani z Głębokiego Dołu, co topi ludzi, którzy zapuszczajom się w te gynste szuwały?

– Co ty gadasz? – zapytał zaskoczony Mirek.

– Przestań już Lucek opowiadać te swoje historyjki – wtrącił Kamil.

– No godom wom, już sam pare ludzi się utopiyło.

Kamil prychnął, a Mirek, widząc okazje w dłuższym postoju, zachęcił Lucka do opowiedzenia legendy. Nie wierzył w takie bajki, ale parę minut odpoczynku w cieniu dobrze by mu zrobiło.

– Downo, downo tymu – zaczął Lucek i spojrzał na twarze swoich kolegów, aby się upewnić czy go słuchają. – Gdy ludzie mieszkali w tych lasach, jedno drewniano chałpka zamieszkiywało małżeństwo i ich jedyno cera. Ana była podobno przepiynknom młodom dziółszkom, któro dzielnie pomagała swoim rodzicom przy obejściu. Tak się stało, że Ana się zakochała. Jej rodzice niy byli zachwycyni wybrankiem, mioł łon bowiyom szelmowsko opinia wśród osadników. Ana zakochano bez pamiyńci, niy słuchała swoich rodziców i potajymnie spotykała się ze swoim szacym. Pewnego słonecznego dnia, wykradła się z chaty, by spotkać się z lubym przy Głębokim Dole. Postanowiła nozrywać kwiotków na bukiet, czynsto robiyła swojej mamie tego rodzaju geszynki. Noroz, kiedy była przy brzegu jeziora, jej kawaler zaszedł jom cicho łod tyłu i pchnoł prosto do wody. W tako wersja przynajmi wierzyli rodzice. Czy to mioł być gupi żart, czy celowo jom tam wciepnoł? Tego żodyn się już niy dowi. Kiedy Ana niy wróciła do dom, zmartwiyni starziki zaczyli jom szukać. Zaro z rana znoleźli przy brzegu pływający po powierzchni wody bukiet kwiotków. Po tym poznali, że musiała wlecieć do wody. Żodyn w tym jeziorze jus jej niy szukoł. Ciała niygdny niy łodnaleziono, ale staruszkowie wiedzieli, co się stało z Aną i łobwiniali ło to jej lubego. Koždymu w wiosce rozprawiali, że to łon zrobioł. Tym bardzi, że łon tys po paru dniach zniknoł na zawsze z osady. Łod tego czasu, gdy ktoś się topioł w tym miejscu, przypisywano to niyspokojnyj duszy Any. Godajom, że przez brak pochówku nie moze się łoderwać łod tego miejsca i w złości zabiero ze sobą koždego, kto łązi po bażołach. Podobno wielu sam widziało postać w sukni i pływające po wodzie kwiotki. Żodyn, kto zno ta legynda niy zapuszczo się blisko szuwar. – Lucek skończył swoją opowieść z zadowoleniem, że nikt mu nie przerywał.

– No... teraz to ja bym na twoim miejscu się zastanowił czy przyjeżdżać tu samemu – skwitował Kamil, po czym roześmiał się złośliwie.

– Śmij się smij. W takich łopowieściach zawsze jest ziornko prowdy. Dej se lepij pozor – powiedział Lucek, spoglądając złowrogo na Mirka.

– Lucek, proszę cię. Kto jeszcze wierzy w takie legendy? Pięćdziesiąt lat temu dziadkowie opowiadali przy blasku świec wnukom takie historie, żeby ich nastraszyć. Nie gadaj, że ty w to wierzysz.

– Jeronie! Nowocześni ludzie się znoleźli. Dobra, niy ma co godać, czas się zbiyrac, jadymy dalyj.

Wskakując na rower, Mirek mimowolnie zlustrował szuwary wokół jeziora, a potem spojrzął na Kamila, który również rozglądał się po gęstych zaroślach wokół Głębokiego Dołu. Droga powrotna o dziwo nie dłużyła się Mirkowi; był podekscytowany na myśl o jutrzejszej wyprawie. Myślał też o tym, że jazda po tych leśnych zakątkach Tarnowskich Gór, zawsze przynosi jakieś niespodzianki, nowe pomysły czy przemyślenia. Marudził wcześniej, ale do domu przyjechał z uśmiechem na twarzy.

Wcześniej rano na ulicach Tarnowskich Gór było jeszcze cicho i spokojnie. Pojedyncze samochody przejeżdżały po ulicy Opolskiej, co było rzadkim widokiem. Mirek miał dużo swobody na ścieżce pieszo-rowerowej, po której szedł tylko jeden mężczyzna z torbą na ramieniu.

Po dotarciu na ulicę Grzybową, na terenie Sowic tuż przed kościołem, skręcił w leśną drogę. Las zabrzmiał odgłosem ptaków, one w przeciwieństwie do wielu ludzi już dawno wstały. Tuż po wschodzie słońca są najbardziej rozśpiewane.

Mirosław przyspieszył, przez świst wiatru, dochodzące zewsząd trele były już ledwo słyszalne. Droga do Głębokiego Dołu strasznie mu się dłużyła, chciał już być na miejscu. Zależało mu na zdjęciach tych majestatycznych ptaków. Wieczorem poprzedniego dnia, wszystko dokładnie zaplanował – co ma ze sobą zabrać i jak zrobić swoją prowizoryczną chatownię. Wszystko, co potrzebował, udało mu się zmieścić do jednego plecaka.

Słońce wisiało już nad horyzontem, powoli ogrzewało wilgotne po nocy rośliny. Lekki wiatr unosił przykrą woń z jeziora, przez co Mirek czuł, że jest już blisko Głębokiego Dołu.

Zatrzymał się na drodze i zszedł z roweru. Z trzciny rosnących przy brzegu, dobiegał głośny rechot żab. Rozglądając się za miejscem, zauważył, jak tu jest spokojnie. Podejrzanie spokojne. Trzciny i drzewa tkwiły w bezruchu, jakby ktoś zatrzymał czas. Nic się nie działo. Świat się zatrzymał jak na obrazie z pięknym krajobrazem. Ostatnio tak się czuł, gdy chodził z kolegami po bieszczadzkich połoninach. Jednak tym razem odczuwał coś jeszcze – niepokój. Miał wrażenie, jakby ktoś go obserwował. Czaił się w tych szuwarach lub za drzewami. To z pewnością legendy Lucka tak działają na umysł. Wyrzucił z głowy te myśli z obawą, że zabrną za daleko i podszedł do szuwarów.

Znalazł wydeptaną ścieżkę. Po paru krokach zobaczył na ziemi rozłożone deski, były wąskie i w paru miejscach zatopione w wodzie. Skupił się na równowadze i szybko śmignął razem z rowerem przed siebie. Zamoczył lewego buta, ale nie przejął się, był na to przygotowany. Wszedł na wał ziemi, z którego jezioro było lepiej widoczne niż z drogi. Spostrzegł pływającą po wodzie kokoszkę. Ona również go zauważyła, bo w jednej chwili szybko podpłynęła do trzciny i zniknęła bez śladu.

Łukowaty wał prowadził w stronę najbardziej zarośniętego miejsca na jeziorze. Mirek szedł niepewnie, nie wiedział jaki teren zastanie. Nigdy w tym miejscu nie był, a z drogi to miejsce było niewidoczne. Po jego prawej stronie leniwie płynęła Graniczna Woda. W korycie rzeki, więcej było błota i grud podmokłej ziemi niż wody.

Mirosław miał przed sobą wysokie trzciny, które przecinały na pół jezioro, tuż za nimi rozpościerała się druga część jeziora. Jeśli tylko udałoby się wejść w te trzciny, to miałby idealne miejsce na zasiadkę. Mógł wybrać wejście w gęste szuwary lub okrążyć je i przejść przez rzekę, jednak wtedy byłby widoczny, co mogłoby spłoszyć ptaki, więc zdecydował się na pierwszą opcję.

Włożył na siebie spakowane do plecaka spodniobuty i ostrożnie przystąpił do badania gruntu. Postawił pierwszy krok, stopa lekko wbiła się w ziemię, było stabilnie. Rozsunął rękoma trzciny i stawiał kolejne kroki. Nie zapadał się, mógł solidnie stać. Nie było jednak idealnie, miał mało miejsca – parę kroków dalej widać było już wodę. Musiał odgiąć kilka gładkich w dotyku trzciny, aby zrobić sobie przestrzeń do robienia zdjęć.

Podchodząc bliżej brzegu, dostrzegł po lewej stronie ciemny zarys czegoś, co leżało na linii brzegowej. Skupił się na tej rzeczy i poruszając głową, starał się wypatrzeć co to takiego. Spomiędzy trzciny w końcu udało mu się dostrzec, że to powalona kłoda. Czarne jak smoła drewno, opierało się o brzeg, a jego drugi koniec pływał w wodzie.

Miejsce miał już przygotowane. Ucieszył się w duchu, że tak łatwo mu poszło. Teraz tylko musiał wrócić po turystyczne krzeselko, statyw i aparat. Po chwili siedział schowany, wokół siebie i nad sobą miał gęste szuwary.

Wysłuchał się w rechot jeziorkowych i wodnych żab, który po chwili zrobił się bardzo przytłaczający. Próbował wyłapać inne dźwięki. Gdzieś z drugiej strony jeziora odezwał się trzcinia, później drugi, z innego miejsca. Czas leciał, a żurawi nie było. Krzeselko zaczęło jeszcze bardziej zapadać się w podmokłą ziemię. Słońce wspinało się po niebie, a Mirkowi było coraz cieplej. Żałował, że nie zabrał zwykłych kaloszy, ale skąd miał wiedzieć, jaki tu będzie teren.

Im dłużej siedział, tym coraz głośniejszy słyszał żaby. Rechot wypełniał całą przestrzeń jeziora. Nagle skądś doszedł do niego dziwny dźwięk. Coś mąciło tafle jeziora. Słysząc było delikatny szum wody, jakby ktoś chodził nieśpiesznie w jeziorze. Mirek rozejrzał się wokół, na tyle ile mógł. Nikogo nie widział.

– Może to kokoszka – wyszeptał sam do siebie. Próbował wypatrzeć czarnego ptaka, jednak nic takiego się nie pokazało.

W jednej chwili kątem oka dostrzegł ruch, tuż przed sobą po drugiej stronie jeziora. Wtedy z tego miejsca wydobył się potężny głos, który zagłuszył wszystkie żaby, jakie rechotały w tym miejscu. Po chwili rozbrzmiał drugi ten sam dźwięk i rozszedł się echem po lesie. Mirosław zadrżał od środka, przeszły go uczucie euforii. Wiedział już, że jego oczekiwanie było warte zachodu. Poznał, że to klangor żurawi. Przysunął się do obiektywu i spojrzął w wizjer. Sprawdził jeszcze, czy parametry są odpowiednie i obserwował.

Z trzciny naprzeciwko obiektywu wyłaniały się żurawie, powoli stawiając kroki swoimi szcudlastymi nogami. Zrobił parę zdjęć, lecz ptaki szły w lewą stronę i nie zatrzymały się nawet na chwilę. Po minucie już ich nie było w zasięgu widzenia przez lukę w przydeptanych trzcinach.

Nie zastanawiając się ani chwili, Mirek wyciągnął pośpiesznie aparat ze statywu i podszedł z nim bliżej brzegu. Przed sobą miał leżące przy brzegu drzewo. Pomyślał, że może na nim stanąć i będzie miał dobry widok na żurawie. Starał się cicho przedzierać przez zarośla. Kiedy był już przy kłodzie, dostrzegł żurawie i z ulgą stwierdził, że go nie widzą. Postawił nogę na pniaku, ten lekko się zakołysał, jednak Mirosław był tak skupiony na ptakach, że nie zwrócił na to uwagi. W jednym momencie, gdy stanął drugą nogą na drewnie, niespodziewanie pod jego ciężarem zatopiło się w wodzie. Mirek próbował złapać równowagę, wyginał się nerwowo jak balansujący na linii akrobata. Ruszał się rozpaczliwie w przód i w tył, ale grawitacja była bezlitosna.

Głośne pluśnięcie wody spłoszyło żurawie. Mirek, ostatnie co widział przed zanurzeniem, to odlatujące ptaki, które miał uwiecznić na zdjęciu. Nerwowo próbował wyczuć dno. Zdziwił się, że go nie ma... Po szoku, jaki doznał, i chwili zamroczenia zaczął panicznie szukać czegoś, czego mógłby się chwycić.

Parę sekund wystarczyło, aby do spodniobutów wlało się kilka litrów mętnej wody. Mirek z trwogą zauważył, jak daleko od niego był brzeg. „Jak to się stało” – pomyślał. Próbował podpłynąć, ale woda w spodniobutach utrudniała mu pływanie. Wierzgał się w wodzie jak

zaplątane w siatkę zwierzę. Trzęsącymi rękami starał się odpiąć klamry od spodniobutów. Jedna poszła z łatwością, druga się zablokowała. Tracił powoli siły. Gdy druga klamra w końcu się odpięła, zaczął jedną ręką ściągać przemoknięty materiał. Spodniobuty przykleiły się do koszulki i nie było szansy, by zsunęły się w wodzie.

Drugą ręką machał nerwowo, żeby utrzymać się na powierzchni. Dał radę podplłynąć do brzegu, jednak pod nogami dalej nie czuł dna. Jedyłą szansę widział w trzcinach. Chwycił kępę łądyg z nadzieją, że uda mu się podciągnąć, jednak pod naporem jego ciężaru, wyrwały się z korzeniami. Poleciał do tyłu. „Zginę tu... nie mam już sił... Rany, to co Lucek wczoraj gadał... Nie, nie, nie. Co za głupoty. Tak, to tylko jakaś wymyślona legenda. Myśl, myśl, co możesz zrobić” – natłok myśli lawirował mu w głowie.

Czuł, jak opada z sił. Buzująca adrenalina pomogła mu podplłynąć pod szuwary. Próbował złapać się jeszcze raz, nadaremno. Kolejne łądygi zostały mu w ręce. Przed oczami zaczęło mu robić się białe, powieki opadały w coraz wolniejszym tempie.

Kątem oka dostrzegł coś fioletowego. Płynęło powoli, jak liść puszczonego z mostu do leniwej rzeki. Patrzył na fioletową plamę, która mknie po wodzie. Ożywił się. Resztkami świadomości wyostrzył wzrok i dopatrywał, że to podłużna łądyga. Na jej szczycie wypiętrzały się fioletowe kwiaty okalające ją całą. Każdy z nich miał pięć delikatnie pofalowanych płatków. Gdyby lepiej widział, dostrzegłby na nich karmazynowe żyłki. Fioletowy kwiat płynął w stronę... czarnej kłody.

– Tak! Powalone drzewo – powiedział na głos. Był tak blisko, a nie pomyślał, że może go wykorzystać.

Ostatnimi pokładami energii podplłynął do pniaka, położył na nim ramiona i z ulgą stwierdził, że go utrzymuje. Musiał jedynie machać cały czas nogami, by nie tracić wyporności. To samo drzewo, przez które wpadł do wody, teraz go ratuje. Zamknął oczy. Słyszał tylko swój głęboki oddech. Żaby zamilkły, jakby ciekawskie patrzyły w milczeniu na to widowisko, które urządził. Po chwili otworzył oczy, popatrzył wokół siebie, nigdzie nie było fioletowego kwiatka. „Przewidziało mi się? Nie, to niemożliwe, przecież go widziałem” – pomyślał w duchu.

Musiał działać, nie mógł tak leżeć oparty na kłodzie. Czuł, że zaraz zemdleje. Chociaż wszystko działo się tak szybko, był w wodzie już pół godziny. Zaczął ruszać nogami. Odpychał raz jedną, raz drugą nogę, gdy po całej wieczności dotarł do trzciny. Zsunął się na koniec pniaka, trzymając go jedną ręką, drugą złapał trzciny. Musiał zrobić to delikatnie, aby, jak wcześniej, nie wyrwać ich z korzeniami. Podpierał się o szerniałe drzewo i starał się za pomocą trzciny, wsuwać ciężkie ciało na brzeg. „Dawaj, dasz radę” – pocieszał sam siebie. Z każdą próbą, kłoda zanurzała się w wodzie i odpływała kawałek dalej.

– To na nic – mówił sam do siebie rozplakany głosem.

W jednej chwili przyszło otrzeźwienie, zauważył w szuwarach swoje krzeselko turystyczne. Musiał najwidoczniej podplłynąć nieświadomie w jego kierunku. Próbował wysunąć się jak najdalej, by dotknąć krzeselka. Niestety nogi nie miały się o co zaprzeć. Dno było cały czas niewyczuwalne.

– Przeklęty Głęboki Dół – syknął przez zęby.

Koniuszkami palców dotykał metalowych nóżek krzeselka, sięgał tyle i ani milimetra dalej. Przy ostatniej próbie wpadł do wody i cały się zanurzył. Po wynurzeniu poczuł śmierdzącą wodę spływającą po twarzy. Trzciny zrobiły się nagle białe, wszystko wokół jaśniało. Czuł, jak powoli traci przytomność. Woda wokół niego zrobiła się spokojna. Wszystkie otaczające dźwięki cichły, jakby ktoś wolno skręcał regulator głośności w radiu.

Pomiędzy mroczkami, które pojawiały mu się przed oczami, zauważył błękitną plamę. Przetarł oczy. Między szuwarami, tuż przy krzeselku, mignął mu jasnoniebieski materiał. Trzciny zaszurały cicho, jak gdyby ktoś pomiędzy nimi chodził.

– Co to było? Halo? Pomocy! – zaczął krzyczeć.

Odpowiedział mu tylko cichy rechot żab.

– Jest źle. Już zaczynam mieć zwidy. Nie chce tu umrzeć... – powiedział słabym głosem.

Zaczął machać nogami, które były jak z ołowiu. Chwytał trzciny u nasady i spróbował dosięgnąć krzeselka.

– Co jest? – powiedział sam do siebie. Mocno się zdziwił, bo krzeselko zmieniło swoje położenie.

Udało mu się ująć nóżkę krzeselka całą dłonią. Podciągnął się, a ugrzęźnięte w podmokłej ziemi krzesło, tkwiło jak kotwica. Mógł wreszcie wsunąć się na ziemię. Resztką sił położył się klatką piersiową na brzegu. Tkwiące dalej w wodzie nogi, drżały niespokojnie, póki nie zamknął oczu. Zemdlął.

Powoli, odzyskując przytomność, do jego uszu dobiegł rechot żab. W pierwszym momencie nie wiedział, gdzie się znajduje. Zaczął zastanawiać się, gdzie jest aparat. Zganił się szybko za te myśli. Jak mógł rozmyślać o aparacie, a nie o tym, że udało mu się przeżyć. Przeczougał się dalej i oparł nogi o ziemię. Czuł, jak na plecy wylewa się woda, która zgromadziła się w spodniobutach. Doczołgał się do plecaka i sięgnął po telefon. Kręciło mu się mocno w głowie, mimo tego dał radę wybrać numer alarmowy.

– Gdzie pan się znajduje? – zapytała dyspozytorka.

– W Głębokim Dole – odpowiedział cichym głosem.

– Proszę pana, ale gdzie jest ten głęboki dół? Jak głęboko pan wpadł?

– To nie dół, to jezioro... – zabełkotał. Po chwili namysłu przypomniało mu się, że to jezioro znajduje się tuż przy równo wyznaczonej granicy Tarnowskich Gór z Miasteczkiem Śląskim. – W Tarnowskich Górach – dodał szybko i po chwili odciął się od świadomości po raz kolejny.

Na tarnogórskim Rynku, jak bywa w letnie dni, przebywało mnóstwo ludzi. Nie było tłoczno, mnogość atrakcji zapewniała miejsce dla każdego: rodzice z dziećmi zajadali się lodami, zakochane pary jadły kolacje w ogródkach przy restauracjach, wielu ludzi przechodziło przez rynek spacerowym krokiem. W ogródku piwnym w samym sercu rynku siedziało wiele ludzi, którzy rozmawiali, śmiali się i popijali zimne napoje.

Pośród nich, przy jednym stoliku siedzieli Kamil, Lucek i Mirek. Na ich stoliku oprócz zmrożonych kufli stał aparat.

– To niemożliwe, że aparat znalazł się w szuwarach – odezwał się Kamil, wskazując ruchem głowy na aparat.

– Czemuś ty mnie niy posłuchał, przeca godołech ci o tyj legyndzie. I co tera mi wierzys? – powiedział Lucek.

– Lucek, to nie żadne legendy, ale moja głupota. Już wam mówiłem, zapatrzyłem się na żurawie i źle postawiłem nogę. A aparat musiałem wyrzucić, gdy łapałem równowagę.

– Masz więcej szczęścia niż rozumu – zaśmiał się drwiąco Kamil.

– Mimo tego wydarzenia, to miejsce jest naprawdę piękne. Ile tam było ciszy i spokoju. Ktoś, kto potrzebuje się wyrwać ze zgiełku miasta, powinien tam przyjechać. Tylko bez zapuszczania się w szuwały.

– O! I w tym się zgodzomy – dopowiedział Lucek.

Zaśmiali się wszyscy, po czym Mirek włączył aparat i zaczął pokazywać kolegom zdjęcia żurawi. Podziwiali piękne ptaki brodzące w wodzie. Żaden z mężczyzn nie zwrócił uwagi na kilka fioletowych kwiatów, które samotnie unosiły się na powierzchni jeziora.

Spięła swoje jasne włosy, zawiązała na głowie chustę i podniosła wiadro z narwanymi mleciami, wysypała zawartość do drewnianego korytka, nim obróciła wiadro, kury i gęsi zbiegły się jak na zawołanie i zaczęły wyjadać zieleninę.

– No! Wszystko zrobione – powiedziała na głos, wypuszczając głośno powietrze z płuc. Krople potu na jej skroni błyszczały w świetle słońca. Zrobiła już wszystko, co miała. Zniosła nawet z podwórza porąbane polana do chaty, aby ojciec był zadowolony.

Za chatą, dyskretnie obmyła ręce i nogi w drewnianym cebrze. Włożyła na siebie błękitną sukienkę. Była zwiewna i długa po kostki. Miała ją ubierać na szczególne okazje, nie do pracy przy obejściu. Był to prezent od matki, która szła ją po nocach, by zrobić Annie niespodziankę. Cicho, na palcach podeszła do okna. Okiennece na szczęście były otwarte. Z ulgą dostrzegła, jak ojciec chrapie na sienniku, a matka tkąła w zamyśleniu.

Czmychnęła przez podwórze jak cień. Gdy chata zniknęła za drzewami, Anna szła już wolniejszym krokiem w kierunku Głębokiego Dołu, gdzie umówiła się z ukochanym Stasiem. Uwielbiała to miejsce. Stykały się tam: las, jezioro i rozległe torfowisko. Te trzy różne krajobrazy tworzyły pejzaż, który Anna mogła podziwiać godzinami.

Zostało jej sporo czasu, więc mogła w międzyczasie pozrywać rosnące przy drodze kwiaty. Gdyby matka dostrzegła jej długą nieobecność, mogłaby udobruchać ją pięknym bukietem. Anna dobrze wiedziała, jak bardzo jej matka lubi kwiaty, zwłaszcza te nazrywane przez córkę. Miała już w dłoniach łądygę dziewanny, krwawnik, trochę wrotyczu, bodziszka i kurze ziele.

Tuż przy jeziorze, poczuła lekki wiatr, który dawał przyjemny chłód. Rozejrzała się za Stasiem, jednak go jeszcze nie było. Spacerowała wolnym krokiem przy brzegu, nuciła radosną melodię pod nosem i zbierała kolejne kwiatki. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy Stanisława. Tak bardzo go kochała... Gdyby tylko jej rodzice go akceptowali, nie musiałaby wymykać się z domu. Westchnęła przeciągle na te myśli.

Nagle, coś przykuło jej uwagę, był to krzak pełen fioletowych kwiatów, który rósł tuż przy brzegu. Wyróżniał się na tle panującej wokół zieleni. Podeszła bliżej, a kwiaty jeszcze bardziej ją zachwyciły. Długie łodygi, z których naokoło wyrastały liczne kwiaty, kiwały się lekko popychane przez wiatr. Ich kolor był niezwykle intensywny, nigdy takiego nie widziała. Kiedyś, jej matka przestrzegała ją, aby nie zrywała fioletowych kwiatów, bo przynoszą nieszczęście. Anna nie potrafiła zrozumieć, dlaczego kolor kwiatków miałby wpływać na czyjś pecha.

Ukucnęła i wyciągnęła rękę w kierunku kwiatka, musiała użyć siły, by zerwać twardą łodygę. W jednym momencie jej nogi zjechały z brzegu wprost do jeziora. Po chwili była już cała w wodzie. Panicznie się miotła, starała wyczuć nogami dno. Wiedziała, że jeśli nie złapie się brzegu, to utonie. Bo nie potrafiła pływać...

Znikała pod wodą i wynurzała się co chwilę, biorąc przy tym łapczywe wdechy. Łzy, które poleciały jej z oczu, momentalnie mieszały się z wodą. Przy ostatnim zanurzeniu nie wypłynęła. Ręce pod wodą rozłożyły się bezwładnie, tafla wody zaczęła prostować. Jej drobne ciało opadało na dno Głębokiego Dołu. Jedynym znakiem obecności Anny, było parę bąbelków powietrza z płuc.

Zauważył je Staś, który dopiero co przyszedł na spotkanie, niczego nieświadomy spojrzał na lustro wody. Jego uwagę przykuł fioletowy kwiat, płynący spokojnie po wodzie, jakby nic przed chwilą się nie wydarzyło.

Dopiero po paru dniach Stanisław dowiedział się, co tak naprawdę stało się z Anną. Wcześniej, był przekonany, że go wystawiła. Chciał powiedzieć jej rodzicom, że to nie on, że czekał na nią przy jeziorze. Jednak oni już wydali swój wyrok. Według nich to on ją wrzucił do Głębokiego Dołu. W obawie przed linczem musiał uciec daleko od tego miejsca. Nawet jeśli nikt by mu nie przypisał winy, nie dałby rady żyć w miejscu, gdzie jego ukochana straciła życie.